

Prof. TADEUSZ ZIELIŃSKI

# **ZNACZENIE WILAMOWITZA W NAUCE I W SPOŁECZEŃSTWIE LUDZKIEM**

---

Odbitka z „Wiedzy i Życia” Nr. 4 i 5, 1932 r.

**W A R S Z A W A**  
**1 9 3 2**



K-65/  
81

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0296305



Nc  
72292

\*KSIĘGARNIA\*

ANTYKWARIAT



578531 F

I.

Wiedza o przeszłych losach ludzkości, a więc dla nas Europejczyków wiedza o starożytności greckorzymskiej, czyli filologja klasyczna, jest kręgosłupem umysłowym naszego społeczeństwa, niezależnie od tego, czy każda należąca do tego społeczeństwa jednostka to sobie uświadamia czy nie; tem się oczywiście tłumaczy to bardzo znamienne zjawisko, że najwybitniejsi przedstawiciele tej wiedzy, to znaczy najwybitniejsi filolodzy — klasycy w różnych czasach odgrywali rolę, nie ograniczającą się do ciasnej sfery swojej nauki, lecz promieniującą na całe współczesne im społeczeństwo. Imiona Petrarcki, Erazma, Skaligera, Hugona Grocjusza i szereg innych są powszechnie znane; w połowie wieku zeszłego berło filologiczno - kulturalne dzierżył wielki Teodor Mommsen; jego następcą na cały ten okres, który się boleśnie skończył 25 września r. z., był ten, który jednocześnie był jego zięciem, Ulrich von Wilamowitz-Möllendorff. Nie był on jednym z owych przeciętnych filologów, których zasługi otrzymują wyczerpującą nagrodę w uznaniu współfachowców: oddziaływał i na społeczeństwo, i to nie tylko niemieckie, ale i ogólnoludzkie, czy to przez swoje dzieła i mowy charakteru popularnego, czy to pośrednio przez swoich licznych słuchaczy i uczniów, czy to nakoniec nieświadomie i niepostrzeżenie przez ową fotosferę rozsianego światła, którą otaczał siebie i swoją działalność naukową. To też i utrata takiego człowieka powinna znaleźć smutny, ale zarazem i uroczysty oddźwięk nie tylko wśród przedstawicieli nauki filologicznej, ale i w całym społeczeństwie daleko poza granicami jego kraju rodzimego, w społeczeństwie ogólnoludzkim.

Dla nas, Polaków, zresztą jego osobistość ma jeszcze inne znaczenie, nad którym też warto się zastanowić: „Wilamowitz” — to nazwisko przecie ma wyraźnie polskie brzmienie, bardziej nawet niż długi szereg innych wschodniemieckich „witz’ów”, które przez tę końcówkę zdradzają swoją pierwotną polskość. I on się wcale tego nie wyrzekał — owszem, chętnie nazywał siebie „einen deutschen Gelehrten mit polnischem Namen”; w swoich



pamiętnikach nawet (Erinnerungen str. 122) opowiada bardzo dobroduszenie, jak raz podczas wojny niemiecko - francuskiej w r. 1871 dla jakiegoś zresztą niewinnego fortelu skutecznie udawał Polaka. Niedosć tego: urodził się — w przełomowym roku 1848, aby to w nawiasie dodać — w Poznańskim, na Kujawach, w majątku swoich rodziców, który on z niemiecka nazywa Markowitz, i tam, wśród Polaków, spędził swoje lata dziecińne. Opisuje je bardzo dokładnie w pierwszych rozdziałach wymienionych przed chwilą swoich pamiętników, które też — zapewne wskutek tego — wzbudziły w swoim czasie zainteresowanie naszej prasy. Kujawiakiem też — Cuiavus — nazywa on siebie w swojej dysertacji doktorskiej ku niemałemu zdziwieniu swych czytelników - Niemców. Nie należy wszelako przeceniać znaczenia tego faktu: był on pomimo wszystko nietylko Prusakiem, i to fanatycznym, ale i Niemcem, uważał kolonizację Poznańskiego przez Niemców za rzecz nie tylko słuszną, ale i zbawienną dla samych Poznańczyków, a sympatje jego rodaków dla naszych powstańców listopadowych za „zarówno bezmyślne, jak i szkodliwe” (str. 24). Kto chce, może też postawić pytanie, dlaczego on, który w głębokiej starości nauczył się języka norweskiego, żeby czytać w oryginale romans Zygyrdy Undset, nie zaszczyił swoją uwagą języka swego najbliższego otoczenia, chociażby celem przeczytania w oryginale „Chłopów” Reymonta, które przecie sam uważa za „piękne” (str. 33). Słuszniej jednak będzie mojem zdaniem, biorąc pod uwagę jego bądź co bądź niemiecką narodowość oraz zastrzenie stosunków między Niemcami i Polakami w Poznaniu, datujące się właśnie od roku jego urodzenia — uznać to, że nie był on wrogiem naszego narodu, że zwalczał nietolerancję swoich ziomków-hakatystów, że wymagał obowiązkowości języka polskiego jako przedmiotu nauczania w średnich i niższych szkołach poznańskich, że marzył o pokojowym współżyciu Polaków i Niemców pod jednoczącym berłem Hohenzollernów w Prusiech.

Wobec wszystkiego tego nie będę się dziwił, jeżeli znajdą się ochotnicy do napisania dzieła „o polskim dziedzictwie w umysłowości Wilamowitza”, równoległego do tego, które już mamy o jego współzawodniku, innym wybitnym filologu niemieckim o nazwisku polskim, Fryderyku Nietzschem. Współzawodniku, tak jest; a ponieważ uważam to współzawodnictwo za fakt wysoce znamienny nietylko dla rozwoju umysłowego obu bohaterów, ale i dla losów naszej nauki i jej stosunku do społeczeństwa, to od niego właśnie pragnąłbym zacząć.

## II.

Po spędzeniu, jak już zaznaczyłem, lat dziecińczych w Markowicach, czternastoletni chłopiec został oddany do samotnej, w pięknym wiejskim otoczeniu szkoły Pforte na brzegu Saali. Było to gimnazjum o wyższym poziomie, t. zw. Gelehrtenschule; obok humanistyki górowała matematyka.

Z klasyków były uczeń z wdzięcznością wspomina rektora Karola Petera, przeciwnika Mommsena i Corssena, oprócz nich germanistę Kobersteina. Po ukończeniu pięcioletniego studjum maturzysta wiedział napewno tylko to, że zostanie filologiem, ale czy klasykiem, czy też germanistą, to jeszcze nie było dla niego jasne. Jego praca maturalna była nawet z zakresu germanistyki — porównanie sagi o Nibelungach w Eddzie i w niemieckim Nibelungenlied; otrzymała ona najwyższą cenzurę, jedynekę (odpowiadającą naszej piątce). Było to odznaczenie bardzo rzadkie; „ostatnie przede mną”, mówi autor (str. 71), „otrzymał Nietzsche”. Rzeczywiście byli oni kolegami szkolnymi, chociaż nierównego wieku: tamten, urodzony w r. 1844, był o cztery lata starszy. Ale pomimo to — obaj klasycy, gdyż i Wilamowicz się rychło zdecydował, obaj byli „Pfortnerzy”: zapowiadało to przyjacielskie stosunki i przyjacielskie współdziałanie w przyszłości. Dlaczego ta zapowiedź się nie spełniła?

Swoje studia uniwersyteckie wydany przez „niemiecki wschód” młodzieniec, spędził na najbardziej ku zachodowi posuniętym uniwersytecie Prus, mianowicie w Bonnii; tam wkrótce przed jego wstąpieniem odbył się przykry spór między Ottonem Jahnem i Ritschlem, który to ostatni przeniósł się do Lipska i pociągnął za sobą Nietzschego, podczas gdy Jahn pozostał w Bonnii, otoczony gronem swoich wiernych „Jahnczarów”, jak ich koledzy nazywali. Otóż do nich należał też i Wilamowicz: Jahn został jego ulubionym mistrzem, któremu on zawdzięczał swój zapał i swój kierunek naukowy. Jedno tylko jemu zarzucał: że Jahn nie odnawiał swych byłych wykładów archeologicznych, ześrodkowując się na filologii ścisłej: dopiero w późniejszych czasach mógł jego uczeń zaspokoić swoje pragnienie pomników rzeczowych, do których odczywał popęd organiczny, mając umysłowość wybitnie „plastyczną”. Bądź co bądź — Bonn zrobił z Wilamowicza filologa klasyka; ostatni semestr, spędzony w Berlinie (1869 — 70), już nic ważnego do jego fizjognomji naukowej nie dodał. Ten semestr zresztą poprzedził bezpośrednio wojnę niemiecko-francuską, w której Wilamowicz wziął czynny i widocznie zaszczytny udział; my ją zostawimy na uboczu, pomimo że on sam, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe, wspomina o niej bardzo chętnie i dokładnie.

Po ukończeniu wojny powrócił Wilamowicz do Berlina, aby się przygotować do włoskiej podróży; właśnie w tym czasie wydał Nietzsche swoje pierwsze zwrócone do szerszego ogółu dzieło, „Narodziny tragedji z ducha muzyki”. „To dzieło”, mówi Wilamowicz prawie sześćdziesiąt lat później w swoich pamiętnikach (str. 128), „wzbudziło we mnie gwałtowny gniew”. I znowu pytamy: dlaczego? W swych pamiętnikach autor widocznie stara się usprawiedliwić ten gniew: „Nietzsche”, powiada, „szczególnie doprowadził mnie do wściekłości swoją zuchwałą zaczepką Jahna”; „on był podążył za Ritschlem z Bonnu do Lipska, stąd jego napad na Jahna”. Mnie zdaje się jednak, że przyczyna z obu stron tkwi głębiej, a ponieważ ona jest decydująca dla cha-



rakterystyki nie tylko stosunku Wilamowitza do Nietzschego, ale i całej jego osobistości naukowej, uważam za odpowiednie poświęcić kilka słów jej wyjaśnieniu.

Nietzsche bowiem w owej książce przeciwstawia rozwój prawdziwej muzyki — którą on nazywa muzyką niemiecką, my zaś możemy nazwać muzyką ogólnoludzką — od Bacha do Beethovena i od Beethovena do Ryszarda Wagnera, tej muzyki, z której ducha powstała w swoim czasie tragedia grecka — ją, powtarzam, przeciwstawia muzyce spaczonej, mianowicie tej operze, która była według niego wcieleniem przeciwnego duchowi tragedji greckiej ducha sokratyczno - aleksandryjskiego logicznego optymizmu. Niech to będzie przesadą; jest ona zrozumiała na tle walki, którą prowadził dramat muzyczny Wagnera z dotychczasową operą i w każdym razie powinna być wartościowana na tem tle. Otóż mówiąc o „kulturze opery” — dla Nietzschego bowiem, jak i dla Platona, istnieje ścisły związek między muzyką danego społeczeństwa i całokształtem jego kultury duchowej — wyraża się on w sposób następujący (I str. 139): „Należy tylko przyjrzeć się tym wielbicielom muzyki w naturze i zbliżka, kiedy oni tak bezustanku wołają „Piękno”, „piękno”, czy oni przytem wyglądają na wykształconych na tonie piękna i wypieszczonych ulubionych dzieci przyrody, czyli raczej na takich, co dla własnej grubości (Roheit) szukają kłamliwie osłaniającej formy, dla własnej uczuciowo ubogiej trzeźwości — estetycznego pozoru; przyczem myślę np. o Ottonie Jahnie”. Zgadza się, że ta zaczepka osobista była niepotrzebna i niedelikatna; w każdym razie jest rzeczą jasną, że jej autor miał tu na myśli Jahna nie jako komentatora Persjusza lub twórcę klasycznego katalogu waz monachijskich, lecz jako autora dokładnej, czterotomowej i też klasycznej biografji Mozarta i gorącego wielbiciela tego kompozytora. Otóż w Mozarcie opera przedwagnerowska osiągnęła swój szczyt, i jego właśnie chętnie wysuwali przeciwnicy Wagnera jako swój ideał piękna w muzyce przeciw rzekomym kakofonjom nowego dramatu muzycznego. Stąd więc wrogi stosunek wagnerzystów, do których wówczas należał i Nietzsche, do Mozarta i ich zawziętość wobec niego, której oczywiście dzisiaj, kiedy owa walka już należy do przeszłości, żaden rozsądny człowiek podzielać nie będzie. Wówczas jednak walka wrzała gwałtownie i namiętnie; jaki więc był, czyli raczej, jaki mógł być stosunek do niej Wilamowitza? Materiał do odpowiedzi na to pytanie daje nam on sam w swych pamiętnikach, gdzie mówi o swych dziecięcych lekcjach gry na fortepianie (str. 59): „Nic z tego nie wyszło oprócz długiej męczarni i trwałego przykrego poczucia defektu w całym wykształceniu, który nie dawał się powetować... Było to rzeczą męczącą śledzić rytm języka z pieśniami śpiewanymi włącznie, ba nawet czytać antycznych pisarzy muzycznych — i w muzyce być barbarzyńcą”. Ta szczerza i wprost bezlitośna samokrytyka rozbraja tego, kto by pragnął skorzystać z tej wyznanej luki dla umniejszenia znaczenia kulturalnego jej autora; a jednak zdaje mi się, że tu właśnie tkwi przyczyna tego, że Wilamowitz nie był w stanie oce-

nić wartości Nietzschego i jego czarującej książki. Ten ostatni wyprowadzał tragedję z ducha muzyki, to znaczy z dziedziny dla Wilamowitza szczerze zamkniętej; niedziw, że jego teoria wydała się jego młodszemu koledze zupełnym nonsensem. Nazwałem wyżej Wilamowitza naturą wysoce plastyczną; nawiązując do terminologii, w innym dziele przeze mnie użytej (Z niwy ojczystej str. 75 i nast.), mogę nazwać Nietzschego naturą niemniej wysoce „meliczną”. Czy to znaczy, że musieli oni koniecznie być wrogami? Czy nie znaczy raczej, że, dopełniając się nawzajem, powinni byli zostać przyjaciółmi? Ta ostatnia droga, chciałbym to podkreślić jak najmocniej, jest wskazana dla ich następców, jest wskazana dla dalszego rozwoju naszej nauki filologicznej: Nietzsche i Wilamowitz powinni zostać obaj jej Dioskurami, w tem tkwi rękojmia jej potęgi w przyszłości. Ale narazie przyjaźni nie było; czasami za życia obu lżejsze istoty skrzydlate w swej beztrójce przelatywały od jednego brzegu do drugiego raczej jako symbol pokoju w przyszłości: „A ludzie? Ludzi rozdzieliły boje!”

W tych bojach jednak zaczepiającą stroną był młodszy; niezupełnie coprawda z własnej inicjatywy, a jednak chętnie napisał przeciwko autorowi „Narodzin tragedji” broszurkę pod zjadliwym tytułem „Zukunftphilologie” — z oczywistą aluzją do „muzyki przyszłości” jego bożyszczka Wagnera — w której mu zarzucał poczęści rzeczywiste, poczęści rzekome błędy, nie przenikając jednak do sedna sprawy, o którym oczywiście nic nie miał do powiedzenia. Odpowiedział mu nie sam napadnięty, lecz jego przyjaciel Erwin Rohde w replice pod jeszcze zjadliwszym tytułem „Afterphilologie” — i, należy wyznać, w tonie jeszcze bardziej grubiańskim. Ten ton poniekąd usprawiedliwił napisanie przez Wilamowitza dupliki pod tym samym tytułem, co i pierwsza broszura; na tem spór się zakończył, zostawiając po sobie wzajemną, długotrwałą niechęć. Sam napadnięty, jak przed chwilą zaznaczyłem, we własnej obronie nie wystąpił; ale z jego korespondencji, wydanej po jego śmierci, widać, jak boleśnie on odczuł ten cios. „Czemu”, czytamy w niej, „musiał to być właśnie Wilamowitz!”

### III.

Duplika, o której mowa, była napisana przez autora już podczas jego pobytu we Włoszech, dokąd się udał jesienią r. 1872 na dwa lata, włączając dwumiesięczną podróż po Grecji. Tu dawne pragnienie jego duszy plastycznej zostało nakoniec zaspokojone, ale nie tylko w obrębie właściwych sztuk plastycznych z malarstwem i architekturą włącznie: przy każdej sposobności starał się niestrudzony wędrowiec uświadamiać sobie topografję miast, wygląd ważnych dla historii miejscowości i t. d., aby na podstawie swoich wrażeń odtwarzać możliwy przebieg ruchów kolonizacyjnych, wojen i innych zdarzeń historycznych; posiadając zaś zdumiewającą pamięć wzrokową, mógł on później skorzystać z nabytej w taki sposób wiedzy, aby gruntowniej i barw-



niej, niż jego poprzednicy, wyobrazić te zdarzenia. W taki więc sposób zaznajomił się nader sumiennie — te podróże bowiem powtarzał przy każdej sposobności — z dwiema obszernymi częściami inwentarza filologicznego, geograficzną i archeologiczną. Trzecią, etnograficzną, też nie gardził, korzystając ze swej dobrej znajomości odpowiednich języków, włoskiego i nowogreckiego; ale otrzymane w tej dziedzinie wiadomości miały oczywiście tylko przypadkowy i dorywczy charakter. Daleko ważniejszą była jego działalność w obrębie czwartej części owego inwentarza — tradycji rękopiśmiennej. Z trudem odrywając się od krajobrazów i muzeów, przesiadywał całymi godzinami nad kodeksami wielkich, ale także i małych bibliotek włoskich, czytając je, przepisując lub przynajmniej kolekcjonując, czy to z polecenia przyjaciół niemieckich, dla których jego ofiarność nie znała granic, czy też dla własnego użytku. Co do tego ostatniego celu, to pomimo materialnej zdobyczy, która mu się przydała w jego przyszłych wydaniach — że wspomnę tylko o Eurypidesie — osiągnął to, co sam uważa za cenniejsze: solidną wprawę paleograficzną i zdrowy sąd o drogach zepsucia tekstów, a więc i ich naprawy. Ta zdobycz wraz z innymi jego właściwościami zrobiła z niego to, czem został na całe życie — pierwszorzędnego krytyka tekstów.

Zastanówmy się nieco nad tem. Krytyka tekstów zapewne nie jest to samo, co filologia wogóle, chociaż wielu filologów trzyma się tego zdania, jeżeli nie w teorii, to przynajmniej w praktyce; nie jest nawet moim zdaniem jej główną częścią. Szerszej publiczności wcale ona nie interesuje; a jednak i ta korzysta z jej owoców, otrzymując dzięki niej poprawne teksty i co za tem idzie, poprawne tłumaczenia autorów starożytnych. Nie będąc więc ani całą filologią, ani jej główną częścią, stanowi jednak jej część bardzo poważną. To też wydała nauka od najdawniejszych czasów bardzo wybitnych krytyków tekstów. Jednym z najwybitniejszych był za nowych czasów August Nauck, któremu poświęciłem w swoim czasie dość dokładny zarys biograficzny. Nauck jednak sam w bibliotekach nie siedział, oryginalnych rękopisów nie studjował, budując swoją krytykę na sporządzonych przez innych kollacjach; otóż Wilamowitzowi taka metoda wydała się niedopuszczalną: ujmując hasło filologiczne „ad fontes!” w jego najszerszem znaczeniu, starał się i tu dokopać się do samych podwalin swojej nauki i, będąc jednym z najbardziej uduchowionych uczonych, poświęcił wiele odebranych przyjemniejszym studjom dni mozolnej i bezdusznej pracy, która wogóle bywa uważana za dziedzinę hominum umbraticorum. Już to jedno świadczy o głębokiej rzetelności jego natury; tak, ale to jednoby jeszcze nie zrobiło go tym pierwszorzędnym krytykiem, którym w rzeczywistości był.

Do tego jednego należało dodać jeszcze jego fenomenalną znajomość języków starożytnych i przeważnie greckiego, ponieważ był on przeważnie hellenistą i teksty wydawał greckie. Wogóle jego uzdolnienie lingwistyczne było wyjątkowe, jak na Niemca; mówią, że my, Słowianie, posiadamy je

w szczególnie wysokim stopniu; czy może i tu się odezwał jego polski atawizm? Mniejsza o to, w jakim stopniu posiadał język grecki: o tem świadczą jego greckie wierszyki, które chętnie wplatał w swoje rozprawy filologiczne — np. w rozprawie o sztuce tłumaczenia, poprzedzającej jego wydanie Hippolita Eurypidesa — a jeszcze chętniej w swoje listy do przyjaciół. Ale i to jeszcze nie wszystko: należało dodać i jego szerokie i głębokie czytanie w literaturze greckiej, obejmujące nie tylko przedstawicieli literatury pięknej wszystkich czasów, ale i najnudniejszych pisarzy fachowych, którzy przeciętnemu filologowi niezawsze bywają znani nawet z imienia. Oczywiście to czytanie byłoby jałowe, gdyby nie znajdowało sobie pomocnicy w jego zdumiewającej pamięci, dzięki której przeczytane zostawiało po sobie ślady w jego świadomości i mogło w razie każdej potrzeby być wykorzystane. No i nakoniec dar najlepszy — to jego dowcip, dzięki któremu jego rozprawy krytyczne zawsze budzą najżywsze zainteresowanie. Proponowane przez Wilamowitza poprawki do tekstów, które on uważał za zepsute — jego tak zwane konjektury — nie trąca rutyną, jak to bywa zazwyczaj; nawet kiedy bywamy zmuszeni do ich odrzucenia jako niesłusznych lub niepotrzebnych, zachwycają nas często swem niepospolitą, wprost artystycznym pięknem.

Nie jest to jednak jedyną zaletą i zasługą Wilamowitza jako krytyka tekstów. Przed nim zadanie autora wydania krytycznego wyczerpywało się pojęciami „recensio” i „emendatio”; „recensio” — to ustalenie na podstawie pracy porównawczej nad rękopisami najwiarogodniejszej tradycji, „emendatio” — to znalezienie w razie zepsucia nawet najlepszej tradycji pierwotnej, poprawnej formy tekstu. Te dwa zadania naturalnie i nadal zachowują swoje znaczenie; ale Wilamowitz dodał do nich jeszcze trzecie — rekonstrukcję w miarę możliwości historii danego tekstu od czasów samego autora, Textgeschichte. Nie ograniczając się do postawienia tego bardzo słusznego wymagania, sam postarał się mu zadośćuczynić: dzięki niemu posiadamy „historje tekstu” Homera, tragiczków, liryków, bukolików, które i same przez się są cenne i ciekawe, nawet kiedy budzą poważne zastrzeżenia, i mogą wskazać drogę przyszłym pracownikom nad pokrewnymi tematami.

Zresztą wydań wyłącznie krytycznych Wilamowitz opracował niewiele: można tu wymienić oprócz „Błagalnic” Eurypidesa jeszcze himny Kallimacha i bukolików greckich w bibliotheca Oxoniensis, ale i do tych dwóch ostatnich dzieł dodał on komentarz egzegetyczny w swojej przełomowej książce o poezji hellenistycznej. Zazwyczaj bowiem łączył krytykę z egzegezą, o której powiem za chwilę, i to bardzo słusznie, ponieważ w praktyce jedno dopełnia drugie. Tu chciałbym jeszcze zaznaczyć, że temi wydaniem krytycznymi i krytyko-egzegetycznymi wcale się nie wyczerpuje jego działalność jako krytyka tekstów. Często bowiem do niego zwracali się wydawcy autorów, pomników epigraficznych, papirusów, prosząc o pomoc przy ustaleniu lub rekonstruowaniu tekstów, i on zasadniczo nigdy swej pomocy nie odmawiał;



otóż ten jego udział w cudzych pracach — naprzód przyjaciół i ziomków, a zczasem w miarę rośnięcia jego sławy i obcokrajowców — też należy uwzględnić przy sądach o jego zdolności krytycznej, i wtenczas ona nam się wyda wprost fenomenalną: tylko człowiek posiadający taką jak on wprawę i przenikliwość mógł rozwinąć pod tym względem tak szeroką działalność, zostawiając jednocześnie tyle czasu dla własnej pracy naukowej.

Zasadniczo, powiedziałem przed chwilą, łączył on krytykę tekstów z ich interpretacją, i ta ostatnia strona jego działalności daleko więcej interesowała szerszą publiczność, niż owa pierwsza, ponieważ do interpretacji należy także i przykład. Otóż za klasyczne wydania krytyko - egzegetyczne przezeń opracowane należy uważać: przedewszystkiem jego dwutomowego (w pierwszym wydaniu) Heraklesa eurypidesowskiego, jedną z podstawowych książek, którą zawsze polecam początkującym hellenistom dla wprowadzenia ich w studjum antycznej tragedji wogóle, następnie Hippolita tego samego poety, następnie całego Eschyla, a poniekąd i Pindara i nawet Platona, gdyż w poświęconych tym dwóm pisarzom dużych dziełach znajdujemy wiele przyczynków do ich krytyki i interpretacji. Umyślnie nie włączam do tej serji wydań jego ostatnich lat, a więc „Sądu rozjemczego” Menandra, „Iona” Eurypidesa, „Lizystraty” Arystofanesa i „Prac” (nie „Prac i dni” wskutek pożałowania godnej zachcianki wydawcy) Hezjoda. Te wydania bowiem nie stoją na poziomie owych pierwszych; mam wrażenie, że wydawca w świadomości, że rozporządza już niewielką liczbą lat życia śpieszył się wypowiedzieć to, co miał do powiedzenia, nie bardzo dbając o wydzielenie wartościowego materiału z masy niewartościowego. To oczywiście nie przeszkodziło jego pochlebcom chwalać także i te mniej cenne wydania, ale z nimi właśnie nigdy nie mogłem się porozumieć. Natomiast do dojrzałych i zdrowych owoców jego talentu interpretatorskiego należy dołączyć niezliczone większe i mniejsze przyczynki, rozsiane po wszystkich omal jego dziełach, gdyż interpretatorem był zapalonym, uważając interpretację za właściwą i najrozkoszniejszą czynność filologa, i korzystał nawet w swoich dziełach systematycznych z każdej sposobności, by ją zastosować. Spodziewamy się, że przygotowany przez jego uczniów skorowidz imienny i rzeczowy jego nad wyraz obfitego dorobku naukowego ułatwi czytelnikom korzystanie z tych skarbów.

To przywiązanie Wilamowitza do interpretacji było zupełnie uzasadnione: w tej bowiem dziedzinie jego działalność naukowa była zdaje się najbardziej przełomowa. Jako spadek po starohumanistycznym gimnazjum pozostała w filologii naukowej pewna wyłączność, ograniczająca zadanie interpretacji do formalnych problemów; neohumanizm uduchowił ten prąd wprowadzeniem żywiołu historycznego, ale samej zasady wyłączności nie usunął. Swoją najjaskrawszą wyraz znalazła ta tendencja w Lipsku i w osobie Gotfryda Hermana w pierwszej połowie w. XIX. Właściwym utworem neohumanizmu była interpretacja realna, którą z Getyngi, owego gniazda neohumanizmu, przeniósł do Berlina Fr. A. Wolf (do nas, jak wiadomo, jego uczeń

Grodek, mistrz Mickiewicza), i która rozkwitła tam w osobie jego ucznia A. Böckh'a i jego zwolenników. Te dwa prądy zderzyły się między sobą z powodu wydania „Eumenid” Eschyla przez jednego z tych zwolenników, Otrf. Müllera: był to słynny w historii filologii t. zw. Eumenidenstreit. Rozwiązania swego wówczas nie znalazł: przeciwnicy pozostali na swoich pozycjach. Przyczyna tkwiła oczywiście w tem, że zazwyczaj w wykształceniu i uzdolnieniu filologa przeważa bądź strona formalna, bądź realna, i w zależności od tego przystępuje do tego lub owego obozu. Dlatego, żeby ów spór otrzymał swoje rozwiązanie nie tylko w teorji (co było nietrudne), ale i w praktyce, potrzeba było, żeby zjawił się filolog jednakowo uzbrojony i w ten i w tamten oręż: otóż takim był właśnie Wilamowitz i w tem praktycznym udowodnieniu równouprawnienia obu kierunków w ramach ścisłej nauki zawiera się wyjątkowa wartość jego wyżej wymienionego „Heraklesa”. Nie mogę tutaj się o tem rozwinąć i przytaczać szczegółów; było to jednak, proszę mi wierzyć, zjawisko bardzo doniosłe, z którego zbawiennych następstw korzystamy, świadomie lub nieświadomie, dotychczas i będziemy jeszcze korzystali długo.

Do interpretacji należy jednak, jak to zaznaczyłem wyżej, także i przykład; działalność Wilamowitza była i pod tym względem miarodajna. I chociaż przekładał on, rzecz prosta, na swój język rodzimy, i mogłoby się здаwać, że to nas bliżej nie obchodzi, wydaje mi się jednak, że zasada, różniąca jego przekłady od innych, ma znaczenie ogólne i jest ciekawa także i dla nas. Przekładał przeważnie tragedje, inne dzieła literackie tylko przypadkowo i dorywczo; wśród tragików znowu przeważnie Eurypidesa, który jemu najbardziej zawdzięcza swoją rehabilitację, rzadziej Eschyla i Sofoklesa. Co do pierwszego i ostatniego, to nie miał on poprzedników wysokiej miary; ale Eschyla Niemcy posiadali w tłumaczeniu Droysena, które uchodziło za klasyczne i, mówiąc nawiasem, mojem zdaniem takim zostało aż do dziś dnia. Na tem więc polu najłatwiej będzie przedstawić różnicę między obydwojma tłumaczami. Droysen, starając się w swym przekładzie odtworzyć górny styl Eschyla, naśladuje m. in. jego śmiałość w tworzeniu nowych, złożonych wyrazów, naśladuje w metryce jego zresztą niebardzo skomplikowane zwrotki liryczne — Wilamowitz rezygnuje i z tej i z tamtej właściwości. „Słusznie!”. mówią jego zwolennicy, „po niemiecku bowiem mówić górnio to znaczy mówić prosto”. No, z tem można się i nie zgodzić; ale niezależnie od tego będziemy zmuszeni wyznać, że przekłady Wilamowitza są bardzo piękne — bardzo piękne dla ogółu, ale też i niezmiernie ciekawe dla filologa wskutek subtelnej interpretacji, na której są oparte i która się w nich kryje. Co do ogółu zaś — ogółu niemieckiego, ma się rozumieć, to on ocenił ich wartość odrazu; żadne inne dzieło autora tak nie rozpowszechniło jego sławy, jak te przekłady tragedji greckich, które, zebrane w czterech ładnych tomach, dostały się na półki wielu ludzi wykształconych, nic wspólnego z filologją niemających, i również przyczyniły się do tego, że przetłumaczone przez Wi-



lamowitza tragedje właśnie w tem jego tłumaczeniu były wystawiane w teatrach, szerząc w ten sposób wśród publiczności wiedzę o antyku w jego najszlachetniejszych objawach i zamiłowanie do niego. Czy to wystawianie zawsze miało powodzenie? Szczególnie chodziło tłumaczowi o „Oresteję” Eschyla, której wystawieniem opiekował się osobiście. Czy więc miało ono powodzenie? Sam tłumacz mówi, że sukces był potężny (gewaltig, str. 253), powołując się na to, że odpowiedni teatr (des Westens) sześć razy był wyprzedany. Od widzów słyszałem sądy odmienne; to jednak wydaje mi się pewne, że o ile stosunek publiczności był ujemny, winę za to ponosi upór samego tłumacza.

#### IV.

Zabieглиśmy daleko naprzód; życiorys samego autora przerwaliśmy na jego podróżach włoskich i greckich między ukończeniem studjów akademickich i rozpoczęciem kariery profesorskiej. Nad tym życiorysem umyślnie się nie rozwodzę; zaznaczę tylko wkrótce, że ową karierę rozpoczął w r. 1874 jako docent uniwersytetu berlińskiego, że od r. 1876 był profesorem w Greifswaldzie, otrzymawszy odrazu ordynariat, od r. 1883 w Getyndze, w r. zaś 1897 musiał się przenieść — bardzo niechętnie — do Berlina, w którym pozostał aż do swojej śmierci, chociaż w ostatnich latach był już jako profesor nieczynny.

W tym samym roku, w którym Wilamowitz został profesorem w Greifswaldzie, przeniósłem się i ja jako student do Lipska; od tego czasu miałem go stale na swoim widnokręgu naukowym. Nie powiem, żeby odrazu jako zjawisko sympatyczne: w naszych seminarjach „Wilamowitzius” był ulubionym przedmiotem zaczepek ze strony początkujących filologów. Być może dlatego, że naszymi mistrzami byli uczniowie Ritschla, byłego przeciwnika Jahna i jego „Jahnczarów”, ale ta przyczyna nie była decydująca: ów spór należał do przeszłości, wcale o nim nie mówiono, a co się tyczy samego Jahna, to o nim mówiliśmy z największem uwielbieniem; dość będzie zaznaczyć, że pogardliwe słowa Nietzschego o nim, o których mówiłem wyżej, także i w kółku, do którego należałem ja, wzbudziły oburzenie. Nie: przyczyną decydującą była niezwykła zarozumiałość i pewność siebie, z którą młody wówczas profesor greifswaldzki dekretował — właśnie dekretował — częstokroć bardzo wątpliwego charakteru twierdzenia; pamiętam dotychczas, jakie drwiny wywołały z naszej strony pierwsze słowa jego hiperkrytycznej rozprawy o „Legendzie Tocydydesa”: „O życiu Tocydydesa napisano dużo grubych książek, których nie czytałem i czytać nie będę”. Nie mogliśmy wówczas jeszcze przewidywać, że ta zarozumiałość była, że tak powiem, obliczona na wzrost; ale pomimo to można nawiasem zaznaczyć, że połączona z często nieuzasadnioną pogardą dla innych uczonych, aż do końca

pozostała przykrą przyprawą do jego najpoważniejszych dzieł i szczególnie szkodliwą dla jego uczniów, którzy często naśladowali tę ujemną stronę jego metody pisarskiej, nie mogąc jednocześnie, rzecz prosta, dorównać mu w dodatnich.

Mniejsza o to. Greifswaldzka działalność naukowa Wilamowitza była w każdym razie tylko przygrywką; szereg, i to bardzo długi, świetnych jego dzieł zaczyna się w Getyndze i otrzymuje dalszy ciąg i zakończenie w Berlinie. Rozmiary artykułu nie pozwalają mi mówić o jego mniejszych rozprawach, drukowanych czy to w czasopismach, najczęściej w Hermesie, czy to w pracach akademij getyndzkiej i berlińskiej, których naturalnie był bardzo czynnym członkiem; to tylko powiem, że w tych rozprawach aż do najdrobniejszych przyczynków, zbieranych kolejno w jego „Lesefrüchte”, kryją się najbardziej wartościowe cechy jego charakteru naukowego: olbrzymie czytanie, sięgające do samych głębin literatury i epigrafiki, i zdumiewający dar intuicji. Mówi on gdzieś z ironją, nawiązując w terminach poczęści do Goethego, o „Kribskrabs der Imagination und Krimskrabs der Erudition”; a jednak są to, tylko bez ironji i w dodatnim znaczeniu, cechy właśnie dla niego charakterystyczne. To też wszystkie te jego rozprawy, lub prawie wszystkie, czytają się z niesłabnącem zainteresowaniem; są i ciekawe i pouczające, niezależnie od tego, czy się z nimi zgadzamy, czy też nie.

Ja zatrzymam się dokładniej tylko nad jego większymi dziełami, dziełami książkowymi. Historia polityczna stoi tu raczej na ustroniu; co prawda, kiedy Wilamowitz gdzieś oznajmił, że nie może określić daty bitwy nad Eury-medontem, „nie będąc historykiem”, było to powszechnie uważane za kokieterję, i np. w jego dziele o „Arystotelesie i Atenach” znajdzie się niemało przyczynków do historii politycznej, jako też i w jego dziele znacznie późniejszym o poezji hellenistycznej. Ale pomimo to nie jest ta część historii jego predylekcją. Daleko więcej interesuje się historją społeczną; tu mani na względzie jego ważne dzieło p. t. „Państwo i społeczność Greków”; stanowi ono część poświęconego społeczeństwu antycznemu tomu olbrzymiej serji „Die Kultur der Gegenwart” i dość jest porównać ten zarys Wilamowitza z równoległym zarysem Niesego o państwie i społeczeństwie Rzymian, żeby się przekonać o olbrzymiej różnicy między pracowitym zbieraczem faktów na odziedziczonych od poprzedników torach i genialnym poszukiwaczem nowych dróg. Nie znaczy to zapewne, żeby te nowe drogi nigdy nie prowadziły na manowce: przesadne dążenie do nowości jak w innych dziełach, tak i tu czasami niemiłe występuje na pierwszy plan, tak np. kiedy odrzuca on oddawna ustalone pojęcie miasta - państwa (Stadtstaat) jako charakterystycznego dla Grecji, powołując się na to, że do Etołczyków zastosować się nie da; jakgdyby Grecja przestała być Grecją, jeżeliby Etołczyków in rerum natura wcale nie istniało! Ale te usterki w szczegółach nie psują imponującego charakteru całego dzieła.



Historji sztuki jako takiej Wilamowitz nie opracował pomimo, że wskutek swojej plastycznej natury był bardzo do tego uzdolniony; interpretację poszczególnych jej pomników znajdujemy u niego często w związku z zadaniami innego charakteru, szczególnie waz i przedmiotów sztuki przedhistorycznej jako świadectw o arcydawnych stosunkach i wędrówkach plemion, które to zawiłe i nieprzejrzyste kwestje bardzo go interesowały. To samo należy powiedzieć o historii języka. Język grecki — o Grecję tu wszędzie chodzi — znał Wilamowitz gruntownie aż do najszczególniejszych subtelności, jak to już zaznaczyłem, i to nawet w najdrobniejszych jego gwarach, ale od kwestyj gramatyki porównawczej w najlepszym razie stronił — gdy bowiem tego nie robił, powodzenia nie miał. Bo chociaż jeszcze będąc studentem uczył się sanskrytu, jednak sam wspomina, że niebawem wszystko całkowicie zapomniał. Co innego — metryka; jej poświęcone jest duże dzieło jego starości, „Griechische Verslehre”, które jednak, będąc przeważnie zbiorem napisanych w poprzednich czasach drobniejszych rozpraw, wrażenia całości nie robi. Wpływ te rozprawy miały bardzo wielki. Jeden z pierwszych recenzentów nazwał nawet metrykę Wilamowitza „rewolucyjną”, a jednak zmuszeni jesteśmy podkreślić, że problemu metrycznego nie rozwiązał i rozwiązać nie mógł, będąc, jak to już powiedziałem, naturą zasadniczo nie meliczną.

Na pierwszy plan natomiast wysuwa się u Wilamowitza literatura, czy to w traktowaniu poszczególnych pisarzy, czy poszczególnych okresów, czy na koniec w całokształcie jej historii. Co do pierwszej kategorii, to tej książki, której przedewszystkiem można się było od niego spodziewać — książki o Eurypidesie — nie napisał; co do krótkiego bowiem zarysu, poprzedzającego wydanie „Heraklesa”, to autor sam sobie życzy, żeby późniejsze pokolenia odnosiły się doń z litościwym uśmiechem. Eurypides, powiada on tam zresztą, jest drugim autorem, o którym dzięki dużej ilości zachowanych dzieł — i, dodam od siebie, dzięki względnie dokładnym wiadomościom o zaginionych i ich ścisłej chronologii — można dać szczegółowy życiorys (naturalnie jako poety); pierwszym jest Pindar. Otóż o Pindarze wydał Wilamowitz specjalną dużą książkę, i ta książka jest teraz podstawową, antykwując starą, bardzo jeszcze niedoskonałą książkę Leopolda Schmidta. Coprawda, dał nam w niej autor nietylko historję rozwoju poetyckiego stylu i talentu Pindara, ile interpretację bardzo gruntowną i pouczającą poszczególnych jego utworów; ale nie jestem pewny, czy ta historia rozwoju jest wogóle możliwa. Jeszcze ciekawsze jest jego jeszcze większe, bo aż dwutomowe dzieło o Platonie; o niem powiem za chwilę. Co do drugiej kategorii, t. j. traktowania poszczególnych okresów literatury greckiej, to mam tu na myśli jego też dwutomowe dzieło o poezji hellenistycznej — mojem zdaniem jedno z jego najpiękniejszych. Jest ono poczęści równoległe do dawniejszego, również dwutomowego dzieła Susemihl'a o literaturze greckiej epoki aleksandryjskiej — mówię „poczęści”, gdyż ten ostatni traktuje także i o prozie. Zachowuje swoje zna-

czenie dotychczas dzięki obfitości zgromadzonego przez autora materiału, który nietrudno znaleźć i wykorzystać, posługując się dokładnym i rozsądnym indeksem — ale prawie nie znałem jeszcze takiego, któryby ją przeczytał od początku do końca, i co do mnie, to muszę wyznać, że mnie na to nie stać. Co do książki Wilamowitza, przeciwnie, to trudno się od niej oderwać, w takim stopniu ciekawe i zajmujące są jego charakterystyki poszczególnych poetów. Jej treść jest dość pstrokata, jak to często bywa u jej autora: tu mamy i dokładny zarys historyczny, i interpretacje hymnów Kallimacha, no i na koniec właściwą historję literatury poetyckiej hellenizmu. W tej ostatniej dąży autor wszędzie do tego, żeby odczuć i odtworzyć osobistość każdego autora, jego hasłem jest „Persönlichkeit”. Pod tym względem jest on antypodą Taine'a z jego teorią środowiska. Kto z nich miał rację? Mojem zdaniem — obaj. W każdym razie uważam to dzieło za bardziej doskonałe, niż jego historję liryki greckiej, bardzo dorywczą, którą zapewne wskutek tej dorywczości nazywa nie tak, lecz według dwóch jej przedstawicieli „Sappho und Simonides”. Że jednak i to dzieło jest godne uwagi, rozumie się samo przez się, skoro jest napisane przez takiego znawcę i wielbiciela liryki greckiej.

Że wobec wszystkiego, com powiedział, historii całokształtu literatury greckiej z pod pióra Wilamowitza oczekiwano ze szczególnem zaciekawieniem, jest łatwe do zrozumienia; dał ją nam w siódmym tomie już wymienionej wyżej serji „Die Kultur der Gegenwart”, obejmującym także i Rzym i Bizancjum. Był on tu bardzo skrępowany miejscem, musiał się więc ograniczać do krótkich, epigramatycznych charakterystyk. Z tem musiano się pogodzić, ile że i to ma swoje zalety; tem bardziej jednak zadziwiła wszystkich niebywała dysproporcja w traktowaniu poszczególnych rozdziałów, względna dokładność poświęconego literaturze hellenistycznej zarysu w porównaniu z krótkością rozdziału o literaturze klasycznej. Widocznie autor kierował się nie tyle potrzebami czytelnika niefachowca — na takich bowiem jest obliczona ta serja, do której należy omawiane dzieło — ile tem, że o literaturze hellenistycznej miał do powiedzenia daleko więcej nowego, niż o klasycznej. Zresztą sam uznał swój błąd i w późniejszych wydaniach postarał się go według możliwości naprawić. Pomimo to jednak i to dzieło jest bardzo ciekawe, również może i wskutek tego, że często zachęca do protestu.

## V.

O jego Platonie miałem pomówić oddzielnie; tu bowiem historia literatury graniczy z historją filozofji, a wskutek tego powstaje pytanie: jaki był stosunek Wilamowitza do filozofji i jej historii? To pytanie sprowadza nas zpowrotem do porównania między sobą obu Dioskurów — tak ich przecie nazwałem — naszej nauki.

Dodajemy tu ważny element do określenia różnicy między nimi. Nietzsche — natura meliczna, Wilamowitz — plastyczna; to już widzieliśmy. Teraz należy dodać, że książka o narodzinach tragedji wyrosła także na



gruncie filozofji, coprawda — filozofji Szopenhauera, która jest także jedną z podwalin muzyki Wagnera. Dziwić się temu nie należy: Szopenhauer bowiem uważa muzykę za najbardziej metafizyczną sztukę, najbardziej wolną od owego welonu Maji, który ostatecznie ogarnął pozostałe, zależne od widzialności, sztuki. I do tej teorii Wagner dodał ilustrację dźwiękową: ja przynajmniej nie znam bardziej głębinnej, bardziej zaczerpniętej z sedna wszechrzeczy, lub też z nirwany, muzyki, niż ustępy środkowe drugiego aktu „Trystana i Izoldy”, szczególnie do słów obu bohaterów: „So stürben wir, um ungetrennt” i t. d. To rzeczywiście jest muzyka zaświatowa; a jednak wydała ją miłość — Eros, tylko Eros z opuszczoną pochodnią, prowadzący do zupełnego zjednoczenia — ale t a m. I czy nie jest to Eros Platona, ten Eros, który też odrywa ogarniętą przez siebie duszę od doczesności, wskazując jej drogę do absolutu — t a m? Tak więc mamy kierunek od Platona przez Szopenhauera i Wagnera do Nietzschego — tego Nietzschego, który w swoich pierwszych wykładach, jako profesor filozofji w Bazylei, wypowiedział jako swoje hasło odwrócone słowa Seneki: philosophia facta est, quae fuerat philologia — do których chciałbym tylko dodać: et tamen philologia remansit. To więc był Nietzsche; a Wilamowicz?

O jego studjach filozoficznych nie słyszymy nic; w jego pamiętnikach niema mowy o jakimkolwiek bądź zainteresowaniu filozoficznym. Zellera uwielbiał (czego Nietzsche np. nie robił, bardzo niesłusznie zresztą), ale to była wyłącznie filozofja starożytna, niezbędna część starożytnej literatury. Ale Platona kochał; powiem więcej: był w nim zakochany. Stosując do niego jego własne słowa w pentametrze do Diona, dał im taką formę: ô emon ekmênas thymon erôti Platôn! (O Platonie, coś szał miłości wzniecił w mej duszy!) I oto jako zakochany w nim osobiście, nie oglądając się na przyszłość jego filozofji w nowych czasach, napisał ową książkę o nim. Tylko o nim: Platon interesował go wyłącznie jako osobistość.

My już znamy tę jego cechę; nie wędząc w ocenę jej słuszności, możemy jednak zgóry orzec: przeprowadzone z tego punktu widzenia studjum o Platonie, i to przez taki umysł, jakim był Wilamowicz, będzie ogromnie wartościowe. I takim jest ono w rzeczywistości. Jest jednostronne; niech tak będzie. I autor zdawał sobie sprawę z tej jednostronności: tem lepiej. To jednak nie usprawiedliwia jego pogardy dla inaczej ujmujących swoje zadanie. W stosunku do Gomperza np., który w swoich ogromnie cennych „Myślicielach greckich” rozpatruje Platona, jak i wogóle filozofów Hellady na tle rozwoju filozofji wogóle, ma tylko butne słowa: „od niego do mnie żaden most nie prowadzi”. Kiedy je przeczytałem, zanotowałem sobie: „na szczęście dla Wilamowicza tak nie jest”. Tego zdania trzymam się dotychczas: właśnie wskutek tej biegunowej różnorodności ci dwaj nawzajem się uzupełniają. I kiedy daję swoim uczniom temat z Platona, polecam im tych dwóch, dodając do nich jako trzeciego, ma się rozumieć, Zellera. To jest

triumwirat konieczny; pożądana są inni, których jest nieprzebrane mnóstwo, ale już w drugim rzędzie.

Filozofja grecka jednak powstała z greckiej religji; Zeller tego nie uznaje, ale pomimo to tak jest. I nie tylko z niej powstała, lecz aż do samego końca przebywała z nią w ścisłym kontakcie; co zaś do Platona, to Windelband — jeden z najlepszych wśród owych „drugorzędnych” — słusznie rozpatruje go jako działacza religijnego równoległe z jego działalnością ściśle filozoficzną. Że Wilamowicz wcale nie stronił od greckiej religji, wiedziano już oddawna; coprawda jego króciutki szkic o niej, zakopany w mało przystępnym miejscu, dużego wpływu nie wywarł, a różne rozprawy charakteru mitologicznego, rozsiane tam i sam, tylko częściowo zachodziły w dziedzinę właściwej religji. Jej poświęcił to dzieło, o którym sam przeczuwał, że będzie ostatnim jego utworem i poniekąd testamentem. Nie udało mu się doprowadzić go do końca: śmierć wyrwała mu pióro z ręki właśnie, kiedy miał napisać ostatni rozdział, zapewne reasumujący, drugiego tomu. Pierwszy już się ukazał, ale nie daje możności sądzić o charakterze całego dzieła: autor bowiem doprowadza rozwój religji greckiej tylko do Homera, o którym traktuje ostatni jego rozdział, podczas gdy poprzednie poświęcone są trzęsawicy greckiej prehistorji, do której autor miał — ze swego punktu widzenia muszę powiedzieć: niestety — szczególne upodobanie. Mniejsza o to, jak również i o to, że tytuł całego dzieła — Der Glaube der Hellenen — nie odpowiada jego treści, ponieważ „wiara” jest tylko częścią religji i może nawet, skoro chodzi o Greków, mniejszą jej częścią w porównaniu z kultem, z częścią obrzędową. I tu mogę wskazać na to, w czym zawiera się siła Wilamowicza w porównaniu z pozostałymi badaczami wśród jego rodaków.

Protestanci chętnie zarzucają katolicyzmowi jego „pogański” charakter. Przyjmuję ten zarzut — „pogański” bowiem w tym wypadku znaczy to samo, co „antyczny” — i wyciągam zeń dalszą konsekwencję: droga do zrozumienia religji antycznej prowadzi przez katolicyzm, nie przez judaizm lub protestantyzm, który z tego punktu widzenia jest zrejudaizowanym chrześcijaństwem. No, katolikiem Wilamowicz nie był, wyrósłszy jednak w środowisku katolickim, miał zrozumienie i uznanie dla piękna właśnie obrzędowej strony naszej religji. Mógłbym przytoczyć szereg miejsc z jego poprzednich dzieł, świadczących o tem jego usposobieniu; ograniczę się do jednego, które mnie szczególnie wzruszyło. Nawiązując do Exod. XX 4 „Nie uczynisz sobie ryciny ani żadnego podobieństwa, które jest na niebie wzgórze i t. d.”, powiada on w swych pamiętnikach (str. 133): „Przykazanie prawdziwego Boga brzmi: uczynisz sobie rycinę i podobieństwo”. To jest wyraźne wyzwanie, rzucone pod adresem judaizmu i zbałamuconego przezeń protestantyzmu i w zupełnej zgodzie jeżeli nie z teorią (niestety), to z praktyką wyznania katolickiego. Jak się ten zasadniczo filokatolicki pogląd odbił na jego ujęciu religji greckiej, to zobaczymy po ukazaniu się drugiego tomu: pierwszy o tem sądzić jeszcze nie pozwala.



Postarałem się w poprzednich rozdziałach dać pojęcie o naukowym znaczeniu Wilamowitza; a jednak miałem mówić nietylko o nim, lecz i o jego znaczeniu społecznym. Czy więc ta część tematu została zaniedbana? Bynajmniej: dzieła bowiem, o których traktowałem w ostatnich ustępach, dostały się do rąk nietylko specjalistów, ale i wykształconej publiczności wogóle i wywarły na nią niemały wpływ. Stało się to możliwe także i dzięki osobliwemu stylowi, którym są napisane. Styl ten bowiem nosi wyraźne piętno osobistości; napisany przez Wilamowitza ustęp można poznać dość łatwo: jest on zawsze jędrny, treściwy, nie unika epitetów i wogóle wyrazów drastycznych, często podnosi się do trafności epigramatycznej, często jednak też, szczególnie w jego ostatnich, pisanych z pośpiechem dziełach, jest niedbały, czasami grzeszy wulgaryzmem, nigdy zaś nie jest nudny, nie powtarza innemi słowami tych samych myśli, każde nowe zdanie jest postępowaniem w porównaniu z poprzednim, wskutek czego każdą pracę czyta się łatwo i z niesłabnącem zainteresowaniem. O jego prawdziwie poetyckich przekładach tradycji greckich już mówiłem: tu, gdzie nam chodzi o zasługi społeczne Wilamowitza, należało raz jeszcze podkreślić ich znaczenie.

Ale obok tych prac naukowych, pełniących jednocześnie i społeczne, że tak powiem, funkcje, znajdował on także czas i usposobienie do innych przeznaczonych wyraźnie dla szerszej publiczności. W uniwersytetach niemieckich istniał i, zdaje się, istnieje dotychczas zwyczaj, że profesor obok wykładów t. zw. prywatnych, za które pobiera się od studentów czesne, bywa zobowiązany do wygłoszenia także i t. zw. publica, wolnych od opłat ze strony słuchaczy. Otóż temi publica zajął się Wilamowitz na serjo, dążąc do tego, żeby zrobić z nich pokarm duchowy nietylko dla studentów wszystkich wydziałów, ale także i dla szerszej publiczności, którą chciał w ten sposób zbliżyć do uniwersytetu ku obopólnej korzyści. I to mu się najzupełniej udało: umiał bowiem, jak mało kto, znajdować ton — także i ton głosu — przemawiający do serc ludzi mało wykształconych. Jego sale na tych publica były pełne, i sympatje różnorodnych słuchaczy, które rychło pozyskał i na długo zachował, rozpowszechniły nietylko jego sławę, ale i sławę nauki, której służył. To samo należy powiedzieć o jego przemówieniach uroczystych, przeważnie w dniu urodzin cesarza, który u Niemców jest, t. j. był świętem narodowym; tematy do tych przemówień wybierał o charakterze filologicznym, i obowiązkowe w tych wypadkach domieszki dynastyczno-patrjotyczne, które zresztą u niego były szczerze, nie w takim stopniu zabarwiają jego wyśłowienie, żeby odrażać czytelnika-obcokrajowca.

Jeżeli chodzi bowiem o obcokrajowców, to Wilamowitz, pomny ogólnokulturalnego charakteru swojej nauki, bardzo a bardzo o nich się troszczył. Posiadając, jak już zaznaczyłem, cały szereg obcych języków, był pod tym względem w lepszym położeniu od większości swoich rodaków; to też skar-

socjalistycznego — nie powiedziałem, rzecz prosta, antysocjalnego. W obu ożył hrabia Henryk, nie Pankracy; i nie bez przyczyny pozwoliłem sobie tutaj na aluzję do poety polskiego. Czy bowiem jest przypadkiem, że w żyłach obu byłych przeciwników i przyszłych Dioskurów filologii klasycznej płynęła polska krew? Czy nie wolno widzieć w tem zapowiedzi tego, o czem oddawna marzę ja — teraz wraz ze mną marzy i wielu innych — zapowiedzi przyszłego słowiańskiego Odrodzenia?



72292



żył się nieraz, że ci za mało zwracają uwagi na postęp nauki filologicznej w obcych krajach, i ze swojej strony starał się, ile mógł, temu zapobiec. Był dumny z tego, że, stworzywszy w ostatnich czasach swój „instytut filologiczny”, przysłużył się dzięki wzorowości tego instytutu filologii wszystkich krajów, jak to mu poświadczył kolega szwedzki; „rzeczywiście”, ciągnie dalej z tego powodu (str. 286), „mamy tę radość, że nieraz uczeni innych narodów przychodzą do Berlina, żeby wygodnie pracować w naszym instytucie i jego bibliotece”. Wiedzą o tem także i uczeni z naszego narodu, i jest to jednocześnie zaszczytnem świadectwem o liberalnym stosunku dyrekcji tego instytutu do obcokrajowców.

Ale nietylko uczeni z obcych krajów dążyli do Berlina i pośrednio do Wilamowitza: zdarzało się częstokroć i odwrotnie. Korzystając ze sposobności przypadkowych, albo też z wyraźnych zaproszeń, udawał się sam do obcych krajów, aby tam wygłaszać odczyty na ten lub inny temat z dziedziny filologii klasycznej, i zawsze z najlepszym powodzeniem. Nie bez dobroduszej ironji wspomina prelegent o nieco giełdowym komplemencie, który usłyszał w Amsterdamie od prezydenta miasta: „Dziś Pindar pański stoi wyżej pari” (str. 308). Było to jeszcze przed wojną; ale i wojna nie przerwała działalności międzynarodowej doświadczonego mówcy. Niemcy chętnie wysyłały do swoich sojuszników — coprawda nielicznych — jak również do okupowanych terytorjów prelegentów z pomiędzy swoich uczonych, i oczywiście ta tendencja przemawia na ich korzyść, czego też Wilamowitz nie omieszkał podkreślić; a że do tych prelegentów należał także mistrz berlińskich publica, było rzeczą zupełnie naturalną. Dzięki temu mógł on odwiedzić w r. 1918 Macedonję, co wykorzystał chętnie i dla swoich studjów filologicznych; dzięki temu także i nasza Warszawa mogła się z nim zapoznać, gdy podczas okupacji niemieckiej wygłosił odczyt o Aleksandrze Wielkim. Innego udziału w wielkiej wojnie siedemdziesięcioletni starzec oczywiście brać nie mógł; zastąpili go synowie, z których też jeden, Tychon, poległ na polu chwały. O nim ojciec publicznie napisem zaświadczył, że poległ pro Polonia liberanda; i chociaż jego pojęcie o wolności znacznie się różni od tego, który przyświeca nam, sądzę jednak, że ten wyraz sympatji do nas starego Kujawiaka powinien mu zjednać także i nasze sympatje.

A jednak ten wpływ międzynarodowy, który za cenę mozolnego trudu zdobył profesor berliński, ten wpływ, można powiedzieć bez przesady, w okamgnieniu osiągnął jego wybitny przeciwnik, Nietzsche, i to w jeszcze większym stopniu: jeszcze gorliwiej, niż apollińskie dzieła tamtego, czytano dzieła dyonizyjskie tego ostatniego. Filologia i jej wziętość z obu wyciągała równą korzyść; i już z tego jednego powodu powinna ona połączyć ich imiona w jednym i tym samym wieńcu sławy.

Łączy ich przecie jeszcze jedna cecha, którą muszę wymienić w zakończeniu: obaj, i wielbiciel osobistości Wilamowitz, i głosiciel nadczłowieka Nietzsche, są krańcowymi indywidualistami i przez to samo usposobienia anty-